Przeklęte szczęście.

(Ciąg dalszy.)

— Ja?... jakim sposobem?... zapytał zdziwiony Władysław.

— Cha! cha! nie pamiętasz, serce?... wykrzyknął Grodzki. Trzeba było myśleć o fabryce przed pół rokiem, wówczas, kiedy się w tobie kochała pani bankierowa Welt....

— We mnie?... bankierowa Welt... powtórzył jeszcze bardziej zdumiony Wilski.

— O, prostaku! o niewinny baranku! wołał Grodzki. Cały świat wiedział, że szaleje za nim ta poczciwa kobiecina, a on nie wie o tem do dziś dnia! Cha! cha! cha!

Helenka, słuchając zapomniała o samowarze, skutkiem czego gorąca woda przelała się już przez wierzch szklanki. Dobry ten wypadek skierował rozmowę na inny temat i pozwolił Władysławowi ukryć niespodziane, lecz wielkie zakłopotanie, jakiego w tej chwili doświadczył.

Około jedenastej wieczorem pożegnał swoich przyjaciół Grodzki, który musiał nazajutrz rano wyjechać i na zakończenie rzekł:

— Pani Heleno! znienawidzę was, jeżeli w kłopotach nie odwołacie się do mnie. Jestem człowiekiem z jednej sztuki, nie lubię ceremonii między swoimi, a kogo kocham, to już całem sercem....

Rozrzewniona Helenka serdecznie ścisnęła go za rękę.

— No, a ty Władysławie, bierz się na ostro i rób pieniądze! Na honor! jesteś jedynym facetem, w którego ręku radbym widzieć miliony, bo wiem, żebyś je puścił, ale z pożytkiem i dla ogółu i dla bliskich tobie!...

Gdy Grodzki wyszedł, Helena zajęła się sprzątaniem. Władysław zaś począł chodzić po pokoju i myśleć. W duszy jego ścierały się dwie idee: jedną z nich były obstalowane przez Józefa modele, drugą Władysław chciał gwałtem wyrzucić za obręb świadomości.

— Kotły do modelu obstaluję u mosiężnika — myślał.

"Bankierowa Welt kochała się w tobie", szeptał jakiś głos.

— Ciekawym, ile mnie będą kosztowały? mówił znowu Władysław.

"Kochała cię, czy słyszysz?" powtórzył ten sam głos.

Władysław poszedł do swego pokoju i począł przeglądać notatki, zostawione przez Grodzkiego. Nagle odwrócił głowę, zdawało mu się, że za jego krzesłem stoi jakieś widziadło, które mu nieustannie szepcze do ucha.

"Kochała cię!..."

Wilski rzucił się na szezlong, oparł głowę na ręku i utkwił wzrok w suficie. W tej chwili moce nadziemskie opanowały jego duszę i oto co widział:

Pewnego dnia, młody, dziwnej piękności człowiek, ubrany we frak, jak przystało na suplikanta, wszedł do gabinetu bankiera Welta.

Znakomity finansista siedział przed biurkiem, na którem leżało mnóstwo otwartych książek tudzież stosy zapisanego papieru i czytał. Uwaga jego była tak mocno zajęta, że dopiero po upływie dwu minut zdołał spostrzec młodzieńca, który w prostocie ducha wywnioskował stąd, że bankier musi być wielkim człowiekiem.

Gdy Welt zbudził się ze swych głębokich rozmyślań, rzekł uchylając haftowanej czapeczki:

— Ach! to pan Wilski?... stokrotnie przepraszam! Pozwól pan, że zatrzymam czapeczkę na głowie. Człowiek tak wiele pracuje umysłowo, że aż doświadcza strzykań. Co pan rozkaże?...

Wilski, zamiast odpowiedzi, podał mu list. Bankier spojrzał na pieczątkę i zdjął czapeczkę.

— Wiem, to pisze mój przyjaciel, książę... Często ze sobą korespondujemy. Dobry chłopak! tylko strasznie demokratyczny....

Potem otworzył list i w miarę odczytywania, mówił:

— "Najuprzejmiej polecam łaskawym względom..." Dobrze! "Najzdolniejszy uczeń na wydziale mechanicznym..." Bardzo pięknie! "Wielki medal złoty..."

— Panie Wolski....

— Nazywam się Wilski.

— Panie Wilski, to musi być duży ten wielki złoty medal, który pan dostał?...

— Dosyć.

— Tak, ja to wiem! Niech pan bez ceremonii siada, bardzo proszę.

Zaproszenie było zbyteczne, ponieważ Wilski sam już usiadł bez ceremonii.

Skończywszy czytać, Welt mówił dalej:

— Po tym liście dom mój jest dla pana otwarty. Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciołmi. Pan będziesz łaskaw pofatygować się do nas co czwartek na herbatę, począwszy od dziś dnia, o wpół do dziesiątej wieczorem.

— Czy mogę spodziewać się?... wtrącił Wilski.

— Może się pan spodziewać najdystyngowańszego towarzystwa w salonach mojej żony.

— Miałem w tej chwili na myśli posadę techniczną.

— Ach! pan miał na myśli posadę?... O tem jeszcze pogadamy.

Wilski pożegnał go i zabierał się do wyjścia.

Nagle bankier zawołał:

— Ale, ale! panie Wilski... Jak pan będzie pisał list do księcia, to proszę mu się pięknie kłaniać odemnie.

Tego samego dnia na herbacie poznał Władysław panią Welt. Była to kobieta w sile wieku, nie tyle piękna, ile majestatyczna, a zarazem pociągająca. Śniada jej twarz miała wyraz powagi i słodyczy, a czarne oczy dziwnie rozmarzały ludzi.

W ciągu wieczoru rozmawiała pani domu kilka razy przez czas dłuższy z Wilskim, który mając głowę nabitą rozmaitymi planami, mówił tylko o nich. Bankierowa słuchała go uważnie i patrzała na niego tak jakoś szczególnie, że Władysław, powróciwszy do domu, spać nie mógł.

Na drugi dzień Welt dał Wilskiemu korzystne zajęcie i uroczyście wezwał do jak najczęstszych wizyt.

"Ona cię kochała!" szeptał mu uporczywie głos, pod którego wpływem, pewne fakty ukazywały się Władysławowi w nowem zupełnie świetle.

Na jednem ze zebrań czwartkowych, gdy Wilski rozmawiał z bankierową o swem studenckiem życiu, zbliżył się do nich pewien nowiniarz i opowiedział, że jakaś dama uciekła z kochankiem.

— Kobiety dla miłości wiele robią! zakończył dowcipnie z uśmiechem.

Pani Welt surowo spojrzała na niego, a gdy odszedł, rzekła do Władysława swym spokojnym i przejmującym głosem:

— Tak, kobiety dla miłości wiele robią, lecz mężczyźni nie umieją tego ocenić!

To powiedziawszy wstała i nie patrząc na Wilskiego, przeszła do innej grupy.

Innym razem, gdy rozwijał przed nią plan towarzystwa budowlanego, przerwała mu nagle mówiąc:

— Czy pan z kobietami zawsze rozmawia tylko o inżynieryi?

— To zależy odparł, z niektórymi mówię o sztukach pięknych, co zresztą jest bardzo nudne.

— Ach, tak! odpowiedziała. Mów pan zresztą cokolwiek.

Przymknęła oczy, oparła głowę na fotelu i z wyrazem spokojnego zachwytu na twarzy słuchała o potrzebie asfaltowania fundamentów, o kranach wodociągowych i gazie w mieszkaniach, a nadewszystko o żelaznem belkowaniu.

Wilski był w dziwnej pozycyi. Miał narzeczoną, którą kochał i znał kobietę, do której ciągnęły go instynkty.

Niekiedy ośmielony jej spojrzeniami, postanawiał wspomnieć coś o miłości. Przy najlżejszej jednak wzmiance tego rodzaju, wzrok bankierowej chłodniał, a na ustach rysował się wyraz pogardliwy i niechętny. Przechodził wówczas do kwestyi obojętnych i znowu było dobrze.

Z początku Wilski stracił głowę wobec tej zagadki, z czasem jednak oswoił się z nią i myślał:

"Jaka szkoda, że ta kobieta jest taka chłodna i myśli tylko o kwestyach finansowych i technicznych. Gdyby nie to, ludzie waryowaliby z jej przyczyny, a najpierw sam mąż!..."

I o niej to powiedział Grodzki, że szalała za Władysławem!

— To być nie może! mruknął Wilski, otrząsając się z marzeń i powstając z szezlonga. Pani Welt jest kobietą z marmuru i banknotów.

"A jednak kochała cię" — szeptał głos.

— Głupstwo! odparł z uśmiechem Władysław. Kochała mnie, a przecie jej mąż nie daje mi teraz żadnego zajęcia.

"Od jak dawna?" spytał głos.

— Od dnia ślubu mego — odpowiedział Władysław.

"A zarazem od dnia, w którym pani Welt, dowiedziawszy się o twym ślubie, ciężko zachorowała", dorzucił głos.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozgłasza jego sławę.

St. Edward's College

Austin, Tex., 22 Kwietnia 1892.

Jestem mocno przekonany o znakomitości „Father Koenig's Nerve Tonic", gdyż polecałem go często przy chorobach systemu nerwowego, a w każdym poszczególnym wypadku skutek był takim, iż moje ku niemu zaufanie się zwiększało, a sławę jego dalej rozgłaszałem.

F. J. Hurth, proboszcz.

San Elzeario, Tex., 12 Czerwca 1891.

Przed 2 laty łaskawie przysłaliście mi kilka flaszek „Father Koenig's Nerve Tonic", które dałem później dwom biednym dziewczętom nawiedzonym padaczką i obydwie zostały wyleczone przez ten doskonały środek. Dobroczynność Wasza będzie Wam koroną za znakomity środek, który rozdajecie ubogim tak wspaniałomyślnie.

Proboszcz E. V. Lebreton.

DARMO książkę wielkiej wagi o chorobie nerwowej i butelkę na próbkę posyłamy na wasz adres. Biedni także otrzymają lekarstwo darmo.

Lekarstwo to przyrządził Ks. Koenig z Fort Wayne, Ind. od r. 1876, a teraz sprzedawane jest pod nazwą:

KOENIG MED. CO., Chicago, Ill.
49 ulica S. Franklin.

Sprzedawane po aptekach za $1.00 butelkę, a 6 za $5.

Duża butelka $1.75, a 6 za $9.

W Milwaukee u E. Krembs'a, róg 1 szej i Greenfield ave.

Odezwa
do czytelników!

Aby dostarczyć czytelnikom polskim wszelkiego rodzaju i wieku materyału dla bibliotek domowych i brackich w poprawnym polskim języku i duchu katolickim; aby umożebnić równie dzieciom jak starcom miłą zabawę w czytaniu i przyrzucić cegiełkę do wielkiej budowy uzacnienia naszej emigracyi polskiej, wydajemy od 1-go Stycznia, 1899,

tygodnik powieściowy

"ŹRÓDŁO".

Tygodnik ten zawiera trzy doborowe powieści i nader cenne rozprawki, mające razem stanowić księgę 9x12 z końcem roku.

Prenumerata roczna na "ŹRÓDŁO" i "KATOLIK" razem wynosić będzie..$2.00
Prenumerata na sam tygodnik "ŹRÓDŁO".....$1.00
Prenumerata na sam tygodnik "KATOLIK".... .1.50

Tak pojedyńczo jak i obydwa tygodniki płatne są całorocznie lub półrocznie z góry za przekazem pocztowym lub czekami pod adresem wydawcy:

REV. W. GRUTZA,
Cor. Lincoln & First Avs.,
MILWAUKEE, WISCONSIN.

Uprasza się więc Szanownych Czytelników, aby po odebraniu numeru okazowego zawiadomili redakcyą, czy zechcą to pismo prenumerować, gdyż dalsze numery takowego tylko tym posyłać będziemy, którzy je piśmiennie lub ustnie zamówili.

Po najlepsze i najnowszej mody zrobione

FOTOGRAFIE

....IDŹCIE DO....

N. L. STEIN, fotografisty,

452 ul. Mitchell, nar. 2giej Ave.

FIEBING i KILLILEA,

Adwokaci pierwszorzędni

do spraw sądowych, cywilnych i karnych, załatwiają wszelkie sprawy z największą punktualnością i rzetelnością po cenach umiarkowanych.

BIURO: 343 ulica Trzecia,
MILWAUKEE. . . WISCONSIN.

GENOWEFA

POWIEŚĆ z wieków średnich nadzwyczaj interesująca wyszła z druku starannie opracowana językiem poprawnym i jest do nabycia

w redakcyi "Katolika"

.....ORAZ.....

w księgarni Wiltzius'a.

Jest to dziełko nieocenione dla czytelników wszelkiego wieku i rodzaju.

CENA egzemplarza 25 centów.

Przy kupnie większej ilości daje się rabat.

Kwoty ubezpieczenia na życie

wpłacone do Kompanii assekuracyjnej

"New York"

może zabezpieczony po trzech latach każdego czasu z prowizyą odebrać.

Najkorzystniejsza usługa u

JANA McNAMAR'A,

Auditorium Hotel Annex., Chicago, Ill.

Osobliwe ustępstwa dla katolików i katolickich duchownych.

POLSKI SKŁAD WIN I WÓDEK,

oraz wielki zapas WIN MSZALNYCH i familijnych.

Szczególnie poleca się własnego wyrobu KUJAWIAK, trunek służący jako najskuteczniejsze lekarstwo na wszelkie dolegliwości żołądka.

ANTONI ANDRZEJEWSKI,

723—725 Windlake Avenue MILWAUKEE, WIS

KURPIE.

Powieść Historyczna przez Kazimierza Władysława Wójcickiego.

"Stara powiastka jak wino z Tokaja
Serce zagrzewa i umysł upaja."
Dominik G. Magnuszewski, konfederat.

(Ciąg dalszy.)

Kozak długiego dobył surowca, okręcił na szyi drabanta, wskoczył na konia, wyjechał naprzód, prowadząc przytoczonego Szweda, jak harta na polowanie.

Tąż samą wązką ruszyli dróżyną, wkrótce las ciemny zaczął się rozrzedzać i widocznie okazały się rozpalone ogniska. Szmigielski z gotowym pistoletem na nogę następował prawie Szwedowi, który struchlały szedł wolniej lub prędzej, stósownie do rozkazu, wskazując wszakże wiadome sobie drogi, którymi bezpiecznie wyminąć można obozy.

Gęste krzaki i rozrosłe choiny kępiaste zakryły im ogniska i pewniejszą wskazywały ochronę; pół mili z górą przedzierali się zaroślami, za nimi ukazały się rozległe błonia, wioska i dwór szlachecki.

— Możnaby już puścić naszego przewodnika, rzekł z uśmiechem August do Szmigielskiego.

— Naj. Panie! nie zupełnie, ja zostawię mego Kozaka przy nim, on nas dogoni; nieznacznie wypuścim ich naprzód i do wsi obrócimy drogę. Sam zbliżył się do Kozaka, z cicha słów kilka przemówił.

August dobył talara, a dając drabantowi na słowo, zgiął go jak wosk w palcach. Szwed zadziwienie z bojaźnią okazał. Król się roześmiał, napowrot w palcach go wyprostował i rzucił, dodawszy jeszcze kilka w nastawiony kapelusz.

Hryć obejrzał się kilka razy, coraz więcej spieszył do wyniesionego pagórka, na środku którego dąb odwieczny szerokie rozciągnął konary. Widział kilka talarów u drabanta, wzięła go chętka, świsnął na swego Żmudzinka, który od razu jak wicher poskoczył. Szwed tym nagłym poruszeniem obalony, mając gwałtownie i silnie naciśnięte gardło, stracił przytomność. Kozak zatrzymał konia, zsiadł i sięgnął do kieszeni po talary, gdy usłyszał bliskie tętnienie kopyt; nie wiele miał czasu, zachwyconą zdobycz schował, skoczył na siodło i spokojnie do okoła. W dali ujrzał Augusta i starostę Szmigielskiego, dojeżdżających szybko do wsi, a w pobliżu siebie dziesięciu drabantów szwedzkich, którzy go zewsząd otaczali.

Kozak zwrócił chyżo na drogę do lasu wiodącą i uderzył na dwóch Szwedów, którzy mu zaskoczyli z tej strony: jednego powalił z konia, lecz wnet więcej nadciągło; nie miał już sposobu ratunku, w około zabłysnęły szable wyostrzone nad głową, zeskakuje z konia, wymyka się zręcznie, wbiega w gęstwinę ciemnego lasu i wdziera się na wierzchołek sosny. Tam z boleścią widzi, jak jedni rzucili się za nim w pogoń, drudzy prowadzili jego Żmudzinka; byłby wszystko za niego oddał, bo nic nie miał droższego na świecie jak Paraskę czarnobrewą, konia i szablę. — Łzy mu się zakręciły; w tem z radością patrzy, że Żmudzinek wydarł się Szwedom i z głośnem rżeniem poskoczył w stronę gęstwiny, gdzie pan jego się schronił. — Kozak zsunął się ze sosny, przypadł do ziemi i głośno zaświstał. Wkrótce trzask i szum gałęzi posłyszał, a niedługo i swego ujrzał Żmudzinka. Dosiada lekko siodła, przychyla się do grzywy i niknie jak błyskawica w nieprzejrzanej ciemności rozległej puszczy.

XII.

"Przed gościem dusze i serce wylać."
J. Woronicz.

— Cóż nowego przywozisz, mój Stasiu? rzekł poufale Jan Grudczyński, starosta radomski, do przybyłego Stanisława Zienkiewicza, który stanął w rogu marmurowego kominka.

Zienkiewicz złożył na stole pakiet listów. Był to ulubieniec starosty, jego wychowanek, wziął go na swoją porękę, kiedy nie miał więcej nad 8 lub 9 lat; nie chciał się uczyć, tylko latał, piął się na drzewa, by wykręcać gniazda ptasze, żydom w miasteczku psoty robić, oto cała zabawa! Starosto kazał go uczyć, a że było to pacholęciem jeszcze zdatne, więc łatwo się wszystkiego nauczył i został prawą ręką Grudczyńskiego. — Najwięcej od następnego wypadku wpadł w szczególne jego łaski.

Przybył raz Grudczyński w podróży na Ukrainę do karczmy samotnej, wpośród rozległej puszczy. Że nie sposób było dalej jechać, bo noc zbyt późna, umyślił zanocować; niepodobieństwem zaś spać w izbie dla smrodu i zaduchu od kopy bachorów i nieczystości. Rozkazał sobie posłać w bliskiej stodole, zawołał Stasia ulubionego, ludziom czujność i baczność polecił.

O samej północy Staś usłyszał, że coś się przesuwa w zasieku po sianie, zbudził Grudczyńskiego i ostrzegł; porwać się zaraz i uciekać, było rzeczą nierozsądną. Staś przewidział wszystko, cichaczem wymknął się i poleciał do karczmy, gdzie dworscy spali głębokim snem ujęci; przy samych wrotach obejrzał się i ujrzał, że za stodołą kilkadziesiąt koni stoi, budzi swoich bez hałasu, dworscy porywają żyda, każą mu milczeć, wszystko do wyjazdu w pogotowiu, sanie wypakowane, konie zaprzężone. Staś przemyśliwał, jakby wydobyć Grudczyńskiego, powraca więc nazad do stodoły i głośno daje znać staroście, że koń ulubiony, Gniadosz, zachorował i powalił się przy żłobie. Grudczyński w gniewie zrywa się z posłania, przywdziewa tylko sobolową delią i biegnie do karczmy. — Siada w przygotowane sanie, otwierają się drzwi na ścieżaj karczmy i starosta swobodny uchodzi.

Wszakże i zbójcy czuwali; chociaż widzieli 25 dworzan zbrojnych, dosiadają koni i spieszą w pogoń.

Grudczyński, doświadczony, rozkazuje, żeby nie razem, ale pojedyńczo tylko odstrzeliwano; jakoż każdy strzał był skuteczny, bo przerzedzał bandę łotrów; sam najzuchwalszych i najbliżej nacierających z pistoletów powalił. Tak ujechał mil dwie, nim znużeni rozbójnicy widząc, iż nic nie dokażą, a sami tracą towarzyszów, opuścili go i rozsypali się w gęstej puszczy. — Staś otulony futrem starosty, siedział mu w nogach i wyglądał często, każdy strzał celny ze strony dworzan widział i zaraz wołał:

— O! o! spadł z konia, o! coś dostał, bo krzyczy Jezus Marya Józef!

Od tego wypadku zostawał Zienkiewicz w jak największych łaskach, tem bardziej, że i chlubną szramę nad prawem okiem otrzymał, wspierając na sejmiku partyą starosty.

— I cóż z nowin mi powiesz przecie, zapytał znowu Grudczyński.

— Jaśnie Wielmożny Panie, wiele nowin, August zdetronizowany, nową elekcyą prymas Radziejowski ogłosił.

Uśmiechnął się radośnie starosta, była to pożądana dla niego nowina.

— Miejsce elekcyi, jak zwykle, mówił dalej Zienkiewicz, na polach pod Wolą. Najjaśniejszy król szwedzki stanął obozem o trzy mile pod Błoniem. — Elekcya odbyła się, królem ogłoszony Stanisław Leszczyński, wojewoda poznański.

Grudczyński uderzył w ręce.

— Chwała Bogu! zawołał z radością, August strącony! a X. J. Mość Kardynał?

— Nie zupełnie uradowany z tego wyboru; mówią, że chciał kogo innego obrać królem.

— Żeby pod niedołężnym sam rzeczą pospolitą rządził. O! znam go! znam go dobrze! chciał Sieniawskiego, hetmana, niedołężnego starca, by go za nos wodził, ale Homo proponit, Deus disponit; widać, że takie było przeznaczenie dla domu Leszczyńskich, jak dla Sobieskich, by ród ich na tronie polskim zajaśniał.

— Mówią, że rozgniewał nawet na siebie pan kardynał Radziejowski i Najjaśniejszego króla szwedzkiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)